

Literackie szczyty

Ostatnimi czasy na spotkaniach autorskich dużo opowiadam o tym, jakim to ciężkim kawałkiem chleba jest powieściopisarstwo. I nie tyle sam akt twórczy: wymyślanie fabuły, bieganie palcami obu rąk po klawiaturze w misji stworzenia zgrabnej całości składającej się z iluś tam setek tysięcy znaków czy nawet podkręcanie akcji lub – wyzwanie to nie lada – wpuszczanie Czytelnika w przysłowiowe małiny tylko po to, aby go potem stamtąd sprytnie zabrać, zawłaszczając przy tym jednocześnie jego podziw i sympatię. Nie, bardziej – jeśli nie przede wszystkim – chodzi o ten moment, w którym książka jest już gotowa i trzeba ją... sprzedać.

Nie raz, nie dwa i nie pięćdziesiąt już razy mówiłem przy wszystkich okazjach – aż w pewnym momencie sam zacząłem w to wierzyć – że książki są takim samym towarem jak każdy inny i tym samym podlegają też surowym prawom wolnego rynku. A to najważniejsze prawo dla mnie jako autora, wydawcy i sprzedawcy swoich własnych powieści jest tak bezlitosne, jak czytelne: żeby się sprzedać (dosłownie, nie w przenośni), trzeba dotrzeć do świadomości odbiorców, czyli w tym konkretnym przypadku: do świadomości Czytelników. Sposobów mamy co najmniej kilka, najlepszy jest jednocześnie przez autorów najmniej pożądanym, bo przekracza cienką linię życia. Krótko mówiąc: na zrobienie oszałamiającej kariery – zarówno pod względem uwielbienia krytyków, jak

i finansowym – mogą liczyć ci, którym się uda... umrzeć. Dlaczego ta droga mnie nie interesuje, tłumaczyć chyba nie muszę. A gdybym musiał, to powiedzmy, że nie mógłbym wtedy liczyć na dalszą frajdę z pisania, a że liczyć na nią chcę, to umierać już nie.

Idąc dalej tym bogatym w emocje tokiem rozumowania, kolejnym świetnym sposobem na dostanie się pod strzechy jest skandal. Nic tak nie zwiększa sprzedaży, jak obecność na pierwszych stronach gazet (brukowców najlepiej), a czy to w negliżu, czy w towarzystwie kochanka, czy też nawet przybysza z innej planety, nieważne, liczy się fakt (mam nadzieję, że tej gry słów nikt za kryptoreklamę nie weźmie). Smutne to z perspektywy kogoś, kto całe życie wierzył, że los nagradza pracowitych, a nie głośnych, smutne jednak czy nie, jest jak najbardziej prawdziwe. I nie ma co się obrażać na świat, tylko trzeba się brać do roboty i iść dalej do przodu. Jak głosi pewne powiedzenie: jeśli cię nie chcą wpuścić drzwiami, to wejdź oknem. A przecież jest jeszcze komin, piwnica, czasami zsypana na śmieci się trafi, widać więc, że jeżeli ktoś chce i się uprze, to znajdzie drogę na szczyty.

Skoro już użyłem tak literackiego porównania, to płynnie mogę przejść do pewnej analogii. Wracając do spotkań autorskich i rozmów z Czytelnikami, bardzo często moje pisanie, wydawanie i sprzedawanie porównuję do wędrowania po

górach. I jest to porównanie tyleż literackie, co obrazowe. W czym rzecz? Ano w tym, że chodząc po górskich szlakach, czasami zdarza się, że człowiek trafi na pogodę wybitnie niesprzyjającą podziwianiu widoków: hale i szczyty zasnują się mgłą lub chmurami, z których na dodatek zacnie się śpiąć deszcz, nie wiadomo skąd zerwie się wiaterek przeszywający nawet najlepsze ubranie i przyjdzie moment zastanowienia: co ja tutaj robię i po co? Oczywiście to ostatnie pytanie najczęściej zadaje się w dużo mniej cenzuralnej formie, zupełnie jak w kryminale, który od ostrych słów nie ucieka, co jeszcze bardziej umacnia analogię.

Ale wróćmy do tematu, czy raczej na literacki szlak. Gdy słońeczko przygrzewa, a przed oczami rozciągają się wielokilometrowe widoczki, dusza rośnie, nogi rwą się same do drogi, a ręce do naciskania spustu migawki aparatu, aby te piękne chwile uwiecznić na nieco dłużej niż mgnienie oka. Wtedy nikt pytania o cel włóczenia się po gładkach nad stumetrowymi przepaściami sobie nie zadaje. Kiedy jednak pogoda się psuje, a nogi odmawiają posłuszeństwa, wielu się zastanawia, a niejeden zawraca (tak na marginesie: umieć się wycofać w odpowiednim momencie to cnota w górach jak najbardziej cenna i pożądana). Są jednak tacy, którzy uznają – paradoksalnie – że im gorzej, tym lepiej. To ci, którym samo zdobywanie gór, pokonywanie własnych słabości i udowadnianie sobie, że można, że da się radę, że potrafi się zacisnąć zęby i przejść nad przepaścią, mimo że serce rozdygotane lękiem wysokości opanowuje resztki rozumu, daje radość nieporównywalną z niczym innym na znanym nam świecie. Ten moment, kiedy stanie się na szczycie, kiedy się spojrzy w dół (ewentualnie zajrzy mgłę w zamazane oczy), jest czymś, czego opisać się nie da, trzeba to przeżyć, posmakować, napoić się tym choćby jeden raz, aby zrozumieć.

Jak to się ma do pisania, wydawania i sprzedawania książek? Zdziwiłbyś się, Drogi Czytelniku, jak bardzo się to łączy. Dzisiaj, jeśli jest się szerzej nieznanym autorem – a na początku każdy z takiego właśnie miejsca zaczyna – trzeba mieć w sobie... Dużo samozaparcia? Siły? Chęci? Powera

– jak powiedziałyby młodzież? Nie. Czego trzeba w sobie dużo mieć? Naiwności. Tak, naiwności! Najbardziej chyba celnym wyjaśnieniem będzie przytoczenie kolejnej anegdotki: „Nie wiedziałem, że tego nie da się zrobić, bo mi tego nikt nie powiedział. Dlatego to zrobiłem”. Teraz, kiedy spojrzę za siebie i przyjrzę się ostatnim pięciu latom pracy nad powieściami, pierwsze, co przychodzi mi do głowy, że tej naiwności miałem pod dostatkiem i gdybym wtedy był bogatszy o wiedzę, jaką mam dziś, to nie wiem, czy podjąłbym słowną rękawicę. Bo z moim pisaniem to było trochę jak z wyjściem na szlak w pełnym słońcu, kiedy czyste niebo, bez nawet jednej chmurki, zapowiada przepiękną wycieczkę, podczas gdy trzy godziny i dziesięć kilometrów później dochodzi do załamania pogody i sufit świata zaczyna szlochać deszczem. Gdy zaczynałem przygodę z powieściopisarstwem, pojęcia nie miałem o tym, jak książkę trudno jest wydać, a potem sprzedać. Owszem, mogłem sobie dać spokój po pierwszej, mogłem po drugiej, mogłem i po trzeciej... Dlaczego nie dałem? Z dwóch powodów: po pierwsze, z moim pisaniem jest jak z chodzeniem po górach: zawracam tylko wtedy, kiedy pójście dalej pociągałoby za sobą nieuzasadnione zwiększenie niebezpieczeństwa, zaś gdy jedyną przeszkodą w parciu naprzód stają się własne słabości, to nie ma zmiłuj się, trzeba zacisnąć zęby, wziąć pewną część ciała w troki (jak powiedziałyby bohater kryminału) i stawiać nogę za nogą. Dosłownie! Po przekroczeniu pewnej granicy zmęczenia zdobywanie górskich szczytów jest mozolne niczym sprint ślimaka. To jest chwila, kiedy czas mierzy się nie sekundami, nie minutami, ba, nawet nie godzinami, tylko kolejnymi krokami, z których każdy wydiera z człowieka energię, jakiej ten nigdy by w sobie nie znalazł, gdyby nie szczyt mający przed oczami.

Ci, którzy chodzą po górach, wiedzą, że potrafią one nauczyć cierpliwości. To nie wyprawa do sklepu, kina czy na basen, gdzie w pół godziny można się dostać z jednego miejsca w drugie. W górach nie ma skrótów, a dystanse są takie, że wymagają od piechurów nabycia umiejętności

dzielenia sił tak, aby w połowie drogi nie oprzeć się rękoma o kolana i nie zawołać: sanitariusz! Zupełnie podobnie jest z prowadzeniem własnej kariery pisarskiej: jeśli nie skorzystało się z wariantu śmiercionośnego, jeżeli opcja skandalisty nie była nam w smak, pozostaje tylko mozolne pięcie się w górę po zawodowej drabinie. Jest to tyleż męczące, co wymagające olbrzymiej odporności na coś, co można by nazwać syndromem „już i teraz”. Jak w pisaniu, tak i w górach chciałoby się już i teraz znaleźć na szczycie, czy to literackim, czy topograficznym, ale takie rzeczy to tylko w: pewnej sieci komórkowej, wyobraźni, scenariuszu filmu *Made in Hollywood*. W realnym życiu, żeby wejść na szczyt, trzeba się na niego wdrapać o własnych siłach.

Czy zdobywanie literackich szczytów jest trudne? Tak, chyba nawet dużo bardziej niż tych górskich. O ile bowiem podczas wędrówki zamgloną granią, co jakiś czas gdzieś tam się słońeczko przebijie i oczy nakarmią się widokami dającymi siłę na przeżywanie kolejnych miesięcy, o tyle droga pisarza, wydawcy i sprzedawcy bywa tych drobnych momentów przyjemności pozbawiona. Jeśli tak się dzieje, można się poddać i wtedy trudno kogoś za to winić. Chyba że co jakiś czas trafi się mały sukces, którym da się ten literacki żołądek nakarmić. W takim przypadku jakoś się prze do przodu, jakoś wciąż chce się pisać w tej swojej naiwności, że jak nie dziś, to jutro, pojutrze, za tydzień stanie się cud.

Z moich rozmów z księgarzami i bibliotekarzami wyłania się pewien obraz polskiej branży księgarskiej. Zabrzmi to może jak banał (swoją drogą: konia z rzędem temu, kto udowodni, że życie nie składa się z banałów, co przecież wcale temu życiu w niczym nie ujmuje), ale taka jest prawda: najlepiej sprzedają się te książki, które sprzedają się najlepiej. Pozornie to sprzeczne, faktycznie – cudowne w swej prostocie. Kiedyś pewien krytyk literacki w przypiływie szczerości powiedział mi, że w naszym kraju, żeby zaistnieć na rynku, trzeba wydawać w jednym z trzech, czterech największych wydawnictw. Dlaczego? Ano dlatego, że drugie tyle pieniędzy co na druk wydają one na

promocję autorów. A jak już wspomniałem, książka jest towarem, skoro tak, to podlega też prawu reklamy: jeśli jesteś w mediach, na okładkach czasopism, na billboardach, wyglądasz nawet z lodówki (niczym pewien Krzysztof z pewnej stacji telewizyjnej z pewnym słońcem w logo), to się sprzedasz. Nie ma cię na afiszach, nie ma sprzedaży, a interes kręci się co najwyżej jak zepsuty wiatrak. Jeżeli więc wydaje się w małym wydawnictwie (czyli takim, które oddzielnych funduszy na promocję i marketing nie ma), trzeba albo umrzeć, albo pomyśleć o skandalu, ewentualnie zagryźć zęby i przeć do przodu uparcie jak osioł ze *Shreka*. I nie ma się co obrażać na cały świat, to w niczym nie pomoże, jedynie zaszkodzi, bo zgorzkniałych ludzi unika się jak ognia.

Nie byłbym do końca rzetelny w swoich prze-myśleniach, gdybym nie poruszył jeszcze jednej kwestii: naszej prowincjonalności. I nie mówię tu o poczuciu życia na literackiej prowincji [bo jak słusznie zauważył prof. Sławomir Kufel: prowincja to stan ducha, nie ciała – „Pro Libris” nr 2/3 (31/32) – 2010, s. 3], ale o odległości dzielącej nas od Warszawy, Krakowa czy choćby Wrocławia lub Poznania. Prozaiczna rzecz, ale jakże duży ma wpływ choćby na częstotliwość kontaktów z koleżankami i kolegami po piórze czy też na organizację targów książki, festiwali i innego rodzaju imprez związanych z prozą.

Przyznam się jeszcze do czegoś: wydaje mi się, że jest jedna dodatkowa szansa na przebudzenie naszego lubuskiego pisania, nie licząc umierania, skandalizowania i mozolnego człapania pod górę. Trzeba by stworzyć produkt literacki, o którym byłoby głośno na wschód od Odry, a który zmniejszyłby odległość i przyciągnął do nas możliwych świata literackiego. A gdyby tak – że rzucę tu pewną myśl – zorganizować konkurs na powieść (opowiadanie? nowelę?) zawierającą motyw winorośli lub winogrona (np. Laur Winnego Grona)? Oczywiście, aby miało to szanse powodzenia, nagroda finansowa musiałaby być niebagatelnej wysokości, a na taką stać byłoby chyba tylko budżet miasta. Wiem, że w dobie kryzysu miejsy skarbnicy cierpią na powszechne

skąpstwo, jednak w tym przypadku wydawanie pieniędzy widziałbym raczej w kategoriach inwestycji, co potwierdzają chociażby przykłady

Gdyni (Nagroda Literacka Gdynia) i Wrocławia (Nagroda Wielkiego Kalibru i Międzynarodowy Festiwal Kryminału).

